

**Grzegorz Wąsowski**

**ZDAŃ KILKA O ZAPAŚCI SEMANTYCZNEJ, WSPÓŁCZESNEJ  
NARRACJI HISTORYCZNEJ, STOSUNKACH POLSKO-ROSYJSKICH  
I POMNIKU, KTÓREGO NIE MA**

**Motto:** [...] *Na ziemi pozostaje łgarstwo, fałsz, przeinaczane fakty, tendencyjna kronika wypadków, wrzaskliwe uogólnienia. Na nic to wszystko. Wielkie doświadczenie, dokonane za cenę krwi i rozpaczy, przepada dla potomności. I po wielkim wybuchu, jak popiół z wulkanu opada i ściele się bezwartościowy osad pustych sloganów.*

**Józef Mackiewicz, „Sprawa pułkownika Miasojedowa”**

Wydarzenia w relacjach polsko – rosyjskich, będące bezpośrednim bądź pośrednim następstwem tragicznej śmierci Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i towarzyszących mu w wyprawie na obchody zbrodni katyńskiej osób, wyzwoliły, po polskiej stronie, szereg zachowań, których punktem odniesienia była historia, a źródłem chęć poprawy aktualnej kondycji stosunków na linii Warszawa - Moskwa. Dodatkowym dla nich impulsem była kolejna, 65-ta już rocznica, upadku nazistowskich Niemiec, którą hucznie, czyli jak zwykle, obchodzono w Moskwie. Pośród tych zachowań trzeba wspomnieć apel kilkudziesięciu osobistości życia publicznego o zapalenie lampek 9 maja na grobach żołnierzy radzieckich. Jeden z sygnatariuszy owego posłania do narodu polskiego, Jego Ekscelencja arcybiskup Józef Życiński, uzasadnił swój podpis pod tekstem apelu w następujący, zdaniem niżej podpisanego, oryginalny sposób.... [...] *to nie są groby wrogów, ale ludzi, którzy PRZYNIEŚLI NAM WOLNOŚĆ*.... (podkr. G.W; cytata za „Gazetą Wyborczą”). Chyba trudno o bardziej rozbieżną z obiektywną wiedzą historyczną i doświadczeniem osobistym setek tysięcy ofiar tej „wolności” pośród naszych rodaków wypowiedź dostojnika Kościoła na temat tego, co w latach 1944-1945 przynieśli do Polski żołnierze Armii Czerwonej, a co było bez wątpienia śmiertelnym wrogiem rzeczywistej wolności, w każdym jej wymiarze. Pewnej, smutnej symboliki, w kontekście przywołanej wypowiedzi Jego Ekscelencji, można upatrywać w tym, że jednymi z ostatnich „beneficjentów” owej „wolności”, przyniesionej nam w latach 1944- 1945 przez żołnierzy Armii Czerwonej, byli bracia Jego Ekscelencji ze stanu duchownego - księża: Popiełuszko, Niedzielak, Suchowolec i Zych. Na szczęście dla nas wszystkich „wolność”, o której mówił arcybiskup Życiński, skończyła się dwadzieścia lat temu i od tego czasu możemy cieszyć się prawdziwą wolnością. Po tamtej „wolności”

pozostało jednak wielkie spustoszenie w świadomości ludzi, a jednym z najistotniejszych przejawów tegoż spustoszenia jest, trwająca do dziś, zapaść semantyczna, która nie oszczędziła nawet Jego Ekscelencji.

Uważam, i to jest smutna konstatacja, że tylko przy zrozumieniu, że żyjemy w czasach ciężkiego pomieszania pojęć, w czasach, które w sferze semantycznej są prostą kontynuacją okresu panowania komunistów, to znaczy okresu, w którym wielu ważnym słowom odebrano ich pierwotny sens i wypełniono je treścią znaczeniową przeciwną pierwotnej [śpiewał o tym Jan Krzysztof Kelus: *bo ktoś splugawił słowa: czyn, walka i towarzysz*], można starać się usprawiedliwić wspomniane słowa arcybiskupa Życińskiego. Wtedy również można podjąć wysiłek wytłumaczenia obecności Bronisława Komorowskiego, na dodatek w towarzystwie Wojciecha Jaruzelskiego - człowieka, który prawie całe swoje dorosłe życie poświęcił walce o zaprowadzenie, a następnie utrzymanie w Polsce władzy partii komunistycznej, będącej śmiertelnym wrogiem wolności i prawdy (w tym prawdy o zbrodni katyńskiej) - 9 maja w Moskwie na obchodach rocznicy Dnia Zwycięstwa. Można wreszcie podjąć trud zrozumienia niekłamanego zadowolenia niemałej części naszych rodaków, a być może nawet ich większości, że żołnierze Wojska Polskiego maszerowali na Placu Czerwonym zaraz po żołnierzach Armii Czerwonej, a przed żołnierzami innych państw koalicji antyniemieckiej, czyli że przyznano im wysoką pozycję w szyku maszerujących triumfatorów, oraz że Bronisław Komorowski otrzymał od gospodarzy znacznie lepszą miejscówkę na trybunie honorowej niż pięć lat wcześniej Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Znaczący Rosjanie nas docenili. Dodajmy, dla dopełnienia obrazu, że gdyby nie tragiczna śmierć Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, to zapewne właśnie on, zamiast Bronisława Komorowskiego, wybrałby się 9 maja w podróż do Moskwy, gdzie zająłby miejsce na trybunie honorowej ustawionej na Placu Czerwonym. Przypomnijmy także i to, że urzędnicy kancelarii Prezydenta RP poważnie rozważali wówczas, czy należy skierować do Wojciecha Jaruzelskiego zaproszenie na pokład prezydenckiego samolotu. Bronisław Komorowski wątpliwości w tej sprawie nie miał i takie zaproszenie pod adresem Jaruzelskiego sformułował. Na marginesie, obecność Jaruzelskiego w Moskwie akurat nie dziwi, bo on miał tam co świętować. W maju 1945 r. to Jaruzelski, żołnierz komunizmu, miał realne powody, by czuć się zwycięzcą. Wprawdzie do pełni szczęścia brakowało jeszcze pokonania rodzimych band reakcyjnego podziemia i ich szerokiego zaplecza społecznego, ale z tym Jaruzelski i jego towarzysze, wykorzystując potęgę militarną Armii Czerwonej,

poradzili sobie stosunkowo szybko. Warto jednak pamiętać, że zwykłej przyzwoitości ludzkiej, że komuniści swoje zwycięstwo w tej odsłonie zmagania (w propagandzie komunistycznej zwanej „okresem utrwalania władzy ludowej”) z tą częścią społeczeństwa polskiego, która nie pogodziła się z komunistyczną niewolą, zbudowali na trupach kilkudziesięciu tysięcy naszych rodaków poległych w walce, pomordowanych i zmarłych w komunistycznych kazamatach oraz przy pozbawieniu wolności dalszych ok. dwustu tysięcy naszych współplemieńców, uznanych przez partię komunistyczną za realnych bądź potencjalnych przeciwników.

Nie ma wątpliwości - jeżeli przyjąć staromodnie, że rzeczywistość tworzą fakty, a nie bieżące zapotrzebowanie polityczne, czyli przede wszystkim walka o poszerzenie elektoratu - że Polska przegrała II wojnę światową sromotnie, zapewne jak żaden z jej uczestników. W wyniku tej klęski na ponad cztery dziesiątki lat została zniewolona przez komunizm z centralą w Moskwie, który jako narzędzia podboju używał właśnie Armii Czerwonej. Tymczasem to właśnie Armii Czerwonej rzekomy wielki wkład w przywrócenie wolności narodom Europy czczono 9 maja 2010 r. w Moskwie i to jej żołnierzom, poległym na ziemiach polskich w marszu na Berlin, mieliśmy gromadnie palić lampki na grobach. Warto może w tym miejscu przypomnieć, choćby z przywiązania do elementarnego porządku logicznego, że w okresie II wojny światowej Polska miała dwóch śmiertelnych wrogów: Rosję Sowiecką i hitlerowskie Niemcy, oraz że klęski Niemców nie należy mylić z polskim zwycięstwem. W konsekwencji wypadła, tak sędzę, zgodzić się z twierdzeniem, że polityk polski, który bierze udział w reżyserowanej na potrzeby propagandowych interesów Kremla defiladzie wojskowej z okazji rocznicy Dnia Zwycięstwa godzi się na fałszowanie rzeczywistości, stając się tego zafałszowania współnikiem. Taki polityk deformuje rzeczywistość po pierwsze dlatego, bo zalicza Polskę do obozu zwycięzców II wojny światowej, po drugie - bo akceptuje płynący z Kremla w świat przekaz o Armii Czerwonej jako sile, która przyniosła wolność Europie środkowowschodniej, w tym także Polsce.

To skłania mnie do postawienia kilku, moim zdaniem, poważnych pytań: czy, w obliczu takich zachowań osobistości polskiego życia publicznego, można odbudować prawdę o historii Polski po II wojnie światowej, prawdę o bohaterskiej walce polskiego antykomunistycznego podziemia z drugiej połowy lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, o tym czym był komunizm, o roli Jaruzelskiego w zwalczaniu niepodległościowych aspiracji Polaków, itd., itd.? Jak przywrócić słowom ich

pierwotne znaczenie? Wydaje się, że jest to niezwykle trudne, jeżeli w ogóle możliwe. Nie da się przecież, w obrębie jednego spójnego systemu myślowego, pogodzić afirmacji dla żołnierzy Armii Czerwonej, jako siły wyzwolicielskiej dla części Europy, ani twierdzenia, że w latach 1944-1945 przynieśli oni Polsce wolność z szacunkiem dla epopei żołnierzy np. 5 Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” czy innych oddziałów antykomunistycznego podziemia i ze zwykłym poszanowaniem dla faktów. To są przeciwstawne, całkowicie wykluczające się symboliki i wartości.

A może nie mam racji? Może jednak istnieje, używając modnego dziś sformułowania, narracja historyczna, która temu zaradzi? Odpowiedzi wydaje się dostarczać red. Skweciński w swoim artykule pt. *Na placu Czerwonym być trzeba* („Rzeczpospolita” z 29 marca 2010 r.), pisząc, że *rosyjska narracja historyczna jest jednoczącą, łączącą carów, Lenina, Denikina i Armię Czerwoną*.

Istotnie, ekipa polityczna Władimira Putina, byłego oficera sowieckiego KGB, aktualnego premiera Rosji, czerpie garściami z wykluczających się, całkowicie przeciwstawnych tradycji, wykorzystując je instrumentalnie dla realizacji swych bieżących interesów politycznych. Jak się wydaje, oceniając rzecz po dominującej od długich już lat pozycji Putina na rosyjskiej scenie politycznej, taka narracja historyczna jest skuteczna, czyli politycznie opłacalna. To nic, że polega ona na zadeptywaniu prawdy; wszak z jej rozpoznaniem wśród mas raczej słabo i nie o nią tu przecież chodzi. Ważne, że elektorat może czuć się w swej znakomitej większości usatysfakcjonowany (dla każdego coś miłego), pomimo, że ostatnie sto lat na rosyjskiej ziemi to historia znacznie bardziej dramatycznych i krwawych podziałów od tych, które były udziałem naszych przodków. Ekipie z Kremla drobny kłopot sprawa właściwie tylko, bagatela, ok. sześćset tysięcy Rosjan (niektóre źródła podają, że było ich drugie tyle), którzy w II wojnie światowej, po dezercji z szeregów Armii Czerwonej bądź przejściu przez niemieckie obozy jenieckie albo będąc emigrantami jeszcze z okresu wojny domowej w Rosji z lat 1918-1920, podjęli, u boku Niemców, walkę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, przeciwko komunizmowi, czyli w praktyce przeciwko Armii Czerwonej. Dodam, że trwali oni w tej walce do końca działań wojennych, a po ich zakończeniu, na mocy porozumień jałtańskich, zostali wydani przez Amerykanów i Anglików, wówczas wiernych sojuszników Józefa Stalina, w ręce sowieckie (na marginesie: pewien drobny epizod tej haniebnej operacji, w ramach której alianci wydali na śmierć bądź wieloletni pobyt w łagrach, także tysiące kobiet i dzieci, nosił kryptonim *Keelhaul*, co

oznacza przeciąganie pod kilem. Trzeba przyznać, że autor tego kryptonimu przynajmniej nie udawał, że rzecz idzie o obronę cywilizacji). Dla nich nie ma póki co miejsca w panteonie bohaterów, którym ekipa rządząca Rosją oddaje hołd. Mają pecha - z punktu widzenia Kremla, tak mocno inwestującego w drugowojenny etos Armii Czerwonej, ich rehabilitacja jest, przynajmniej na ten moment, po prostu nieopłacalna. Powie wielu: *z punktu widzenia Rosji to przecież zdrajcy, absurdalne zatem jest oczekiwanie, że władze rosyjskie miałyby oddawać im honory*. Dobrze - odpowiem. Zdrajcy. Tylko kogo zdradzili? Związek Sowiecki? Zgoda. Komunizm? Zgoda. Ale co to ma wspólnego ze zdradą Rosji? Nic, o czym za chwilę. Zresztą i ze zdradą Związku Sowieckiego oraz komunizmu sprawa nie jest zupełnie oczywista, bo takiego zarzutu nie da się uzasadnić wobec tych Rosjan walczących u boku Niemców, którzy będąc emigrantami z okresu wojny domowej w Rosji, nie byli nigdy obywatelami sowieckimi. Byli natomiast, od lat, zaciekłymi wrogami komunizmu.

W tym miejscu, powodowany troską o właściwy odbiór niniejszego tekstu, decyduję się poczynić deklarację, która jest, ze wstydem to przyznaję, haraczem na rzecz poprawności politycznej. Otóż chcę zapewnić, że wspominając co najmniej kilkusettyśięcną rzeszę Rosjan, którzy w II wojnie światowej byli sojusznikami Trzeciej Rzeszy, a przez to oczywiście równocześnie byli wrogami polskiej sprawy (niektórzy z nich dopuścili się zbrodni na Polakach, np. jednostki RONA użyte do tłumienia Powstania Warszawskiego), nie miałem i nie mam zamiaru czynić z nich pozytywnych bohaterów, czy choćby przekonywać do zrozumienia ich decyzji. Sądzę, że żadna fraza niniejszego tekstu nie uzasadnia takiej jego interpretacji. Stąd to uczucie wstydu przy powyższym wyznaniu, które ma mnie ocalić przed świętym oburzeniem czynników patriotycznych. Przywołałem tę rosyjską zbiorowość wyłącznie na potrzeby dalszych rozważań nad problemem zapaści semantycznej i wynaturzania faktografii na potrzeby polityki bieżącej.

Wydaje się rzeczą obiektywnie ciekawą, że w odrodzonej, powstałej po upadku komunizmu Rosji, ludzie ci nadal są objęci anatema władz państwowych, pomimo że, ujmując rzecz ściśle, owa rzesza Rosjan, którzy zdecydowali się na walkę z komunizmem, chcąc nie chcąc po stronie Hitlera, to bez wątpienia żołnierze walczący o Rosję, o jej uwolnienie spod jarzma komunizmu i w tym znaczeniu, chyba najważniejszym dla każdego żołnierza, to żołnierze rosyjscy. W przeciwieństwie do żołnierzy radzieckich, czyli żołnierzy Armii Czerwonej, których walka nie miała nic wspólnego z Rosją, a wręcz przeciwnie – była prowadzona w interesie i pod rozkazami partii komunistycznej, której pierwszą i jednocześnie

największą ofiarą padła właśnie Rosja - i których w żadnym porządku logicznym mianem żołnierzy rosyjskich określić się nie da. Tak jak nie da się uznać, że na miano żołnierza polskiego, w tradycyjnym znaczeniu tego pojęcia, w którym mieszczą się całe idące przez wieki zastępy naszych zbrojnych przodków, broniących niepodległości i wolności lub bijących się o te święte wartości, zasługują osoby robiące po 1945 roku karierę w Ludowym Wojsku Polskim, z Wojciechem Jaruzelskim na czele. Zapewniam, że moim zamiarem nie jest obrażanie p. Jaruzelskiego, tak jak i wcześniej żołnierzy radzieckich, których, jak twierdzę, nie należy mylić z żołnierzami rosyjskimi. Po prostu jestem przekonany, że twierdzenie powyższe jest logicznie poprawne i obiektywnie ściśle. Przypomnę, że p. Jaruzelski służył nie w Wojsku Polskim, lecz w Ludowym Wojsku Polskim. A to zasadnicza różnica, gdyż przymiotnik ludowe/ludowy, będący elementem rozwinięcia skrótu LWP, całkowicie niszczy znaczenie wszelkich słów, z jakimi się on łączy.

*To słowo-pasożyt, słowo-łasicca. Tak jak rzekomo łasicca jest w stanie opróżnić jajko bez pozostawienia widzialnego śladu, tak słowa takie jak ludowy, społeczny, potrafią pozbawić każdy termin znaczenia, z którym tworzą związek, pozornie pozostawiając je nienaruszone* [za Friedrich August von Hayek, „Zgubna pycha rozumu. O błędach socjalizmu”]. Dla lepszego zobrazowania powyższej myśli warto wspomnieć takie pojęcia, znane w okresie PRL-u, jak „kraje demokracji ludowej”, czy „sprawiedliwość socjalistyczna”, która, w myśl słusznej obserwacji z tamtych lat, miała tyle wspólnego ze sprawiedliwością, co krzesło elektryczne ma wspólnego ze zwykłym krzesłem z salonu. Tak też jest i z „Ludowym Wojskiem Polskim” – słowo „Ludowe” pozbawia jakiegokolwiek realnego znaczenia słowo „Polskie”, wysysa całą jego treść, znosi jego sens. Pozostaje zatem tylko słowo „Wojsko”. I teraz wszystko się zgadza. Bez wątplenia bowiem p. Jaruzelski żołnierzem był. Być może nawet dzielnym. Tyle że żołnierzem komunizmu z centralą w Moskwie. Wszystkich, którzy w tym miejscu wzruszą ramionami lub obdarzą mnie nieprzyjaznym epitetem, uznając, że godzę w cześć żołnierzy LWP, proszę, by zwrócili uwagę na pewien znamieny fakt z historii szlaku bojowego tegoż wojska. Otóż, ilekroć po 9 maja 1945 roku LWP wyjeżdżało poza bramy koszar oraz tereny poligonów i używało broni z ostrą amunicją, zawsze, jeżeli nie liczyć akcji przeprowadzonych w latach 1945-1947 przeciwko obywatelom Rzeczypospolitej narodowości ukraińskiej [podstawowym celem działań LWP przeciwko mniejszości ukraińskiej, który zresztą osiągnięto, było wygnanie z domostw i przymusowe przesiedlenie kilkuset tysięcy ludzi, z których znakomitą większość przesiedlono na ziemię leżące na

wschód od aktualnych granic Polski; warto też dodać, że największe okrucieństwa ze strony LWP zostały popełnione wówczas nie w roku 1947, podczas akcji „Wisła”, lecz jesienią roku 1945], strzelało do Polaków, walczących lub protestujących w sprawie wolności lub chleba. Za wyjątkiem oczywiście strzałów oddanych latem 1968 r. do naszych sąsiadów-Czechów, którzy bynajmniej nie chcieli wtedy pomścić aneksji Zaolzia z 1938 roku, tylko śnili swój sen o wolności.

Czy rzeczywiście pacyfikacje polskich wiosek z lata 1945 roku, walki u boku NKWD lub UB z polskim podziemiem niepodległościowym w tym samym czasie, strzały do rodaków w Poznaniu w 1956 r. i na Wybrzeżu w 1970 r., współdziałanie w rozpędzeniu Praskiej Wiosny, ramię w ramię z bratnimi żołnierzami Armii Czerwonej i innych „krajów demokracji ludowej”, latem 1968 r., czy wreszcie blokowanie strajkujących w grudniu 1981 r. zakładów pracy, z KWK „Wujek” na czele - bo taki jest realny „szlak bojowy” LWP po zakończeniu II wojny światowej - mają być elementem historii polskiego oręża? Jeżeli przyjąć, że LWP było wojskiem polskim, to konsekwentnie musimy uznać, że właśnie tak. A wtedy czas najwyższy pomyśleć w jaki sposób nakłonić p. Jaruzelskiego, aby raczył przekazać do Muzeum Wojska Polskiego np. swój mundur, w którym 13 grudnia 1981 roku ogłosił narodowi wprowadzenie stanu wojennego. Pora, by ta zasłużona dla popularyzacji historii Wojska Polskiego placówka muzealna, wzbogaciła się o tak cenny eksponat. Intuicja podpowiada mi, że najskuteczniejszy dla osiągnięcia tego celu będzie sformułowany w tej sprawie, w formie listu otwartego, apel przedstawicieli elity intelektualnej i moralnej naszego społeczeństwa, niekwestionowanych autorytetów znaczy, do p. Jaruzelskiego. Liczę, że w tak ważnej dla ogółu kwestii nasze autorytety nie zawiodą. A poważnie, LWP powstało z inicjatywy komunistów i na potrzeby partii komunistycznej, pozostawało przez cały czas swojego istnienia pod jej pełną kontrolą i jako takie podejmowało działania zgodne z celami i interesami tejże partii, czyli przeciwko wolności narodu i jednostek. W tym nie różniło się ono niczym od Armii Czerwonej i innych wojsk „krajów demokracji ludowej”. Na koniec tego wątku informacja osobista, która, mam nadzieję, wzmocni moje zapewnienie że nie chcę nikogo obrazić, a jedynie wskazać na kompletne pomieszanie pojęć w materii, którą niniejszy tekst podejmuje. Otóż ukochany brat mojej babci ze strony mamy zginął jako żołnierz LWP podczas walk o Wał Pomorski. Ale ten smutny dla mojej rodziny fakt nie zmienia przecież prawdy o LWP.

Wracając do naszych relacji z Rosją, uważam, że deformowanie prawdy na potrzeby doraźnych interesów czy wizji politycznych, czyli - ujmując rzecz w sposób przyjemny dla oczu czytającego ten tekst - narracja historyczna, która łączy, nie dzieli, ta sama narracja, która Putinowi pozwala czerpać z tradycji Denikina i Lenina jednocześnie, a Bronisława Komorowskiego zaprowadziła na obchody rocznicy Dnia Zwycięstwa i kazała mu stanąć na trybunie honorowej na Placu Czerwonym w Moskwie w fałszywej roli reprezentanta kraju z obozu zwycięzców II wojny światowej, a nie kraju będącego ofiarą partii komunistycznej z centralą w Moskwie i jej zbrojnego ramienia - Armii Czerwonej, co zresztą Bronisław Komorowski uczynił przy powszechnej akceptacji czołowych postaci polskiej sceny politycznej, ma przed sobą wspaniałą perspektywę. Jest bowiem łatwa i przyjemna dla oczu i uszu mas, a dla polityków ma walor bezproblemowości i skuteczności. Przyszłość stosunków postpeerelowsko-postsowieckich, przepraszam - powinno oczywiście być: polsko-rosyjskich jawi się zaiste różowo.

Narzekanie w rodzaju niniejszego tekstu zwykle atakowane jest z powodu braku propozycji rozwiązań konstruktywnych. Jakby zwrócenie uwagi na błagę nie było wartością samą w sobie. Nie chcąc jednak wywieszać białej flagi wobec oskarżenia o krytykanctwo, przy braku przekazu pozytywnego, chcę wydobyć z mroków zapomnienia pewien epizod, który mógłby posłużyć za tworzywo historyczne do zbliżenia polsko-rosyjskiego, bez konieczności dokonania brutalnego gwałtu na faktach. Nie wiadomo wprawdzie na ile pomysł, o którym za chwilę, przypadnie do gustu stronie rosyjskiej, ale skoro tamtejsza narracja historyczna mieści i Lenina i Denikina, to są szanse, że spotka się on z przychylnością władz rosyjskich. Zanim przejdę do rzeczy chcę podkreślić, co oczywiste dla tych niewielu, którzy mają pojęcie o historii naszego kraju, że zadanie znalezienia materiału dla pozytywnego, ale jednocześnie prawdziwego, przekazu historycznego na użytek procesu ocieplania stosunków polsko-rosyjskich nie jest łatwe do wykonania. Na przestrzeni dziejów żołnierz rosyjski, a następnie radziecki, pojawiający się na ziemiach polskich kojarzył się bowiem ze zniszczeniem, gwałtem, bezprawiem, agresją i zniewoleniem, zagrożeniem lub utratą niepodległości. Tak było od rzezi Pragi poczynając, a na przyniesieniu „wolności” w latach 1944-1945, żeby posłużyć się językiem Jego Ekscelencji arcybiskupa Życińskiego, kończąc. Z pomocą w poszukiwaniach historycznej platformy nadającej się do poprawy relacji polsko-rosyjskich przyszła mi publikacja autorstwa Kazimierza Krajewskiego - wybitnego znawcy polskiego podziemia niepodległościowego z lat 1939-1954, podpory



merytorycznej Fundacji „Pamiętamy”, której pracami mam zaszczyt współkierować. W artykule *Pomnik, którego nie ma*, opublikowanym ponad dziesięć lat temu w periodyku „Przeszłość i Pamięć” [wydawany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa; zeszyt nr 3 z 1998 roku], zwrócił on uwagę, że jest jednak w dziejach najnowszych moment, w którym żołnierz rosyjski walczył po stronie polskiej - w obronie wolności Polski, a zarazem za wolną Rosję. Było tak w roku 1920, w wojnie polsko - bolszewickiej. Jeden z epizodów tego wyjątkowego, jak na standard w dziejach polsko- rosyjskich, braterstwa broni został odmalowany przez Izaaka Babla - komunistę, komisarza I Armii Konnej Budionnego, uczestnika wojny 1920 r., a jednocześnie znakomitego prozaika. W opowiadaniu *Po bitwie* (opowiadanie opublikowane w zbiorze pt. *Armia Konna*) autor wspomina bój na Zamojszczyźnie, w którym uczestniczył osobiście. Czytamy tam:

*Trzydziestego pierwszego [sierpnia 1920 r. - przyp. G.W.] przeszliśmy do natarcia pod Cześnikami. Szwadrony zgromadziły się w lesie obok wsi i o szóstej rano ruszyły na nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel oczekiwał nas na wzgórzu, do którego było trzy wiorsty jazdy. Przegalopowaliśmy trzy wiorsty na znużonych do cna koniach i kiedyśmy wpadli na szczyt wzgórza, zobaczyliśmy zamarty las czarnych mundurów i pobladych twarzy. To byli kozacy, którzy zdradzili nas na początku polskiej wojny i zostali uformowani w brygadę pod dowództwem esaula Jakowlewa. Ustawiwszy jeźdźców w czworobok, esaul czekał na nas z gołą szablą [...]. Karabiny maszynowe przeciwnika szyły z dwudziestu kroków, ranni zwalili się w naszych szeregach. Stratowały ich kopyta naszych koni i zderzyliśmy się z nieprzyjacielem, ale czworobok ani drgnął, więc rzuciliśmy się do ucieczki. W ten sposób sawinkowcy osiągnęli nietrwale zwycięstwo nad naszą dywizją. Osiągnęli je dlatego, że atakowani nie odwrócili twarzy od ławy szturmujących szwadronów. Tym razem esaul dotrzymał pola, a myśmy uciekli nie znacząc szabel nędzną krwią zdrajców.*

Brygadzie kozackiej esaula Jakowlewa nie poszło już tak dobrze w boju z wiodącą ku Zamościowi I Armią Konną Budionnego pod Tyszowcami. Według różnych źródeł straciła ona wtedy ponad stu ludzi i poniosła poważne straty w koniach i uzbrojeniu. Nie miejsce tu na głębszy rys historyczny poświęcony oddziałom rosyjskim walczącym po polskiej stronie z bolszewikami w wojnie 1920 roku. Warto jednak odnotować, że poczynając od lipca 1920 roku rosyjskie antykomunistyczne czynniki polityczne i wojskowe na terenie Polski uzyskały oficjalną reprezentację w postaci Rosyjskiego Komitetu Politycznego, kierowanego przez

Borysa Sawinkowa [stąd w tekście Babla pojawia się termin *Sawinkowcy*, choć akurat brygada Jakowlewa nie podporządkowała się komitetowi kierowanemu przez Sawinkowa].

Sama historia życia Sawinkowa to materiał na kilka filmów sensacyjnych. W czasach caratu kierował on pracą organizacji bojowej socjalistów - rewolucjonistów (eserów), przygotowując szereg spektakularnych zamachów na przedstawicieli władz carskich, w tym na ministra spraw wewnętrznych Rosji Plehwego i wielkiego księcia Sergiusza. Aresztowany w 1906 r przez władze carskie i skazany na śmierć, uniknął szubienicy uciekając z więzienia. Przedostał się za granicę. Do Rosji powrócił po rewolucji lutowej. Brał udział w pracach rządu Kiereńskiego. Po przewrocie bolszewickim stanął na czele Związku Obrońców Ojczyzny i Wolności. Organizacja ta wywołała kilka lokalnych powstań antybolszewickich, krwawo stłumionych przez komunistów. Po upadku akcji powstańczej Sawinkow przedostał się do Paryża, gdzie przez krótki czas był przedstawicielem admirała Kołczaka. W 1920 r. przebył do Polski. Uznawał niepodległość naszego kraju. Kierowany przez niego Rosyjski Komitet Polityczny cieszył się polityczną akceptacją Naczelnika Państwa Polskiego Józefa Piłsudskiego. Ciekawą relację dotyczącą Sawinkowa zawarł w swoich, wydanych w 2007 roku przez Wydawnictwo ISKRY *Pamiętnikach* Karol Wędziagolski, który w przełomowym dla wojny polsko – bolszewickiej z 1920 roku dniu 15 sierpnia towarzyszył Sawinkowowi podczas wizytacji frontu pod Wyszkwem. Wędziagolski zanotował:

*Żle się działo tego dnia bolszewikom pod Wyszkwem, źle się działo i w innych miejscach, i już się nie poprawiło aż do końca kampanii. W czasie tej krótkiej wizytacji frontu [...], uważnie obserwowałem spod oka mojego rosyjskiego przyjaciela. Musiałem stwierdzić, że nie grał ani inteligenckiej tragedii, ani dyplomatycznej komedii. Był szczerze i gorąco przejęty powodzeniem sprawy, za którą opowiedziało się jego sumienie i rozumienie. Może niejedyn Polak mógłby się zawstydić swojej powściągliwości w entuzjazmie, obserwując ogień zwycięskiego triumfu w oczach tego Rosjanina na widok pogromu jego braci. Wracaliśmy do Warszawy w doskonałych humorach [...].*

W sierpniu 1920 r. liczebność rosyjskich oddziałów walczących po stronie polskiej przeciwko Armii Czerwonej wynosiła ok. czterech tysięcy żołnierzy i m.in. wskutek politycznej akcji Sawinkowa i sytuacji na froncie rosła z każdym tygodniem. Prawdą jest, że część tych jednostek nie wyróżniła się niczym szczególnym podczas działań wojennych. Niemniej jednak niektóre z nich były się momentami całkiem dzielnie. Dobrym na to

przykładem jest powołany we wcześniejszej partii tekstu opis autorstwa Babla. Bez wątplenia do najbardziej bojowych, ale i najokrutniejszych zarazem należały oddziały gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza, wywodzące się z armii gen. Judenicza. Oto relacja por. Stanisława Lis-Błońskiego, polskiego oficera łącznikowego pośród „Bałachowców” [publ. w: „Rok 1920. Wojna Polski z Rosją bolszewicką.” Ośrodek KARTA, Warszawa 2005]:

*Było około północy [zdarzenie miało miejsce 4 sierpnia 1920 r. – przyp. G.W.]. Otrzymuję meldunek od oddziałów straży przedniej, że w Krymnie miejscowy komitet rewolucyjny przygotował się, aby nas przyjąć chlebem i solą [...] I oto, gdy wjechaliśmy na rynek Krymna, tuż obok drewnianego krzyża ustawiła się delegacja złożona z prezesa rewkomu, jego zastępcy i kilkuset miejscowych obywateli. Oczywiście, wszyscy byli prawie bez wyjątku „kruczowłosi”, z orlimi nosami. Prezes rewkomu trzymał jakąś tacę, a na niej chleb. Podając mi ten dar [...], witał „nasze” wojska jako zwycięską armię Trockiego, która niesie wyzwolenie masie pracującej całego świata [...] Mówił dalej, że zamordowali oni kilku „bandyckich” żołnierzy z „białej, polskiej armii” [...]. Musieliśmy towarzyszowi prezesowi i towarzyszom natychmiast „podziękować”. A ze względu na konieczność zachowania za wszelką cenę ciszy, ponieważ w pobliżu nas znajdowała się regularna armia bolszewicka, postanowiliśmy uderzyć na tę bandę białą bronią. Prezes rewkomu przyplacił swoją wiernopoddańczość śmiercią przez powieszenie.*

Niezależnie od wszystkich ujemnych cech tych jednostek, z których zdecydowana większość skupiła się pod politycznym szyldem komitetu kierowanego przez Sawinkowa, były to oddziały złożone z Rosjan, którzy za głównego wroga uznali bolszewizm i walczyli z nim ramię w ramię z Wojskiem Polskim. Ci Rosjanie bili się i przelali krew na polskiej ziemi, walcząc za wspólną sprawę - za wolność naszą i ich, za wolność od komunizmu, za prawo narodów i pojedynczych ludzi do wolnego życia na ziemi.

Polskie zwycięstwo w sierpniu 1920 roku pod Warszawą i kompletne załamanie się frontu wojsk bolszewickich w Polsce, które nastąpiło wkrótce potem, nie odmieniło losu Sawinkowa i innych rosyjskich antykomunistów walczących po polskiej stronie w wojnie 1920 roku. Byli oni chyba najbardziej przegranymi żołnierzami tamtej wojny. Porozumienie pokojowe polsko-bolszewickie z jesieni 1920 roku, potwierdzone traktatem ryskim z marca 1921 roku, sprawiło, że cały wysiłek organizacyjny komitetu Sawinkowa i ofiara podległych

mu żołnierzy poszły na marne. Inni nasi sojusznicy w tej wojnie - ukraińscy żołnierze atamana Semena Petlury, których polityczne marzenia także zostały pogrzebane postanowieniami traktatu ryskiego - usłyszeli przynajmniej słynne *Ja was Panowie bardzo przepraszam*, wypowiedziane przez Marszałka Piłsudskiego w obozie dla internowanych w Szczypiornie. Wobec naszych rosyjskich sojuszników zabrakło nawet takiego, drobnego w sumie gestu. Bardzo szybko odeszli w zapomnienie. Nie pozostał żaden materialny ślad po ich walce u boku żołnierza polskiego w obronie polskiej ziemi przed bolszewikami. Milczały i nadal milczą na ten temat strofy wierszy i karty powieści skreślonych piórami polskich poetów i pisarzy. Do chlubnych wyjątków należy znakomita powieść Józefa Mackiewicza „Lewa wolna”. Jednym z bohaterów tej świetnej książki, zdaniem niżej podpisanego jednej z najlepszych powieści wojennych w ogóle, jest walczący po polskiej stronie Rosjanin-antykomunista Paweł Zdybienko, którego postać autor kreśli z głęboką empatią. To właśnie Zdybienko wypowiada niezwykle ważne zdanie, wyjaśniające istotę zagrożenia jakie niósł z sobą komunizm oraz pokazujące ogólnoludzki, ponadnarodowy sens walki z komunistami:

*Oni chcą od ciebie ciebie samego zabrać. Żeby nie było ciebie, a na to miejsce taka maź, taki wspólny rozczyn pod ciasto. To co oni tam krzyczą: Grab nagrabilone! To tylko takie zachęty z jednej, a straszaki z drugiej strony. A naprawdę, to oni chcą zagrabić nie to, co było przez kogoś zagrabilone, a to, co nigdy nie było nagrabilone, tylko to, z czym każdy człowiek rodzi się do życia. To oni chcą zabrać. O i dlatego trzeba ich zniszczyć. Nie: W Imię Ojca i Syna..., a w imię ratowania samego siebie.*

Każda kolejna rocznica polskiego zwycięstwa nad wojskami bolszewickimi w kampanii 1920 to dobry moment, by przypomnieć naszych rosyjskich towarzyszy broni z tamtej wojny. Ponieważ pamięć wymaga formy trwałej, warto też pomyśleć o materialnym dowodzie tej pamięci. Jak postuluje we wzmiankowanym wyżej artykule Kazimierz Krajewski, mógłby nim być pomnik lub przynajmniej obelisk postawiony ku pamięci wszystkich tych Rosjan, z Borysem Sawinkowem na czele (dodam, że został on zwabiony przez agentów GRU do ZSRR i w 1924 r., po procesie pokazowym, skazany na 10 lat więzienia, a rok później najprawdopodobniej zamordowany w więzieniu na Łubiance; według oficjalnej wersji sowieckiej Sawinkow miał popełnić samobójstwo), którzy w 1920 roku za głównego wroga uznali komunizm i stanęli do walki z nim u boku żołnierza polskiego. Może powinien on stanąć w którejś z miejscowości Zamojszczyzny, tam gdzie

Kozacy esaula Jakowlewa stanęli na drodze maszerującej ku Zamościowi I Armii Konnej Budionnego?

Niezależnie od waloru dochowania zwykłej przyzwoitości, która wymaga pamięci elementarnej o tych, którzy bili się za naszą wolność, takie upamiętnienie miałoby szanse stać się, tak sędzę, dobrym, symbolicznym miejscem na ocieplanie, a z biegiem czasu, miejmy nadzieję, na umacnianie dobrych stosunków polsko-rosyjskich. Dodatkowo miałoby ono tę przewagę nad wznoszoną z okazji obchodów Dnia Zwycięstwa trybuną na Placu Czerwonym w Moskwie - miejscem, w którym uprawiający zawód polityka nasi rodacy ze szczytów władzy kolejno wpisują się w nieprawdziwy, płynący z Kremla przekaz o historii - że dla osób znających jako tako bądź lepiej faktografię dziejów najnowszych, obecność naszych polityków przy takim pomniku nie rodziłaby oskarżeń, w ocenie niżej podpisanego słusznych, o co najmniej współudział w zakłamywaniu historii na potrzeby bieżących politycznych interesów. I nie deptałaby pamięci o tych setkach tysięcy naszych rodaków, którzy walkę z „wolnością” przyniesioną Polsce w latach 1944-1945 przez żołnierzy Armii Czerwonej przypłacili życiem bądź więzieniem.

Oczyrna wyobraźni widzę uroczystość państwową w miejscu takiego upamiętnienia. Kwiaty pod pomnikiem składają polski prezydent i rosyjski premier. Prowadzący uroczystość, w ukłonie dla rosyjskich gości, czyta słowa wypowiedziane w lipcu 1920 r przez gen. Piotra Wrangla, Głównodowodzącego Siłami Zbrojnymi Południa Rosji, następcę gen. Antona Denikina:

*Można różnie oceniać ustroje polityczne, można być skrajnym republikaninem, socjalistą, a nawet marksistą, ale nie sposób nie dostrzec, że tak zwana republika sowiecka jest przykładem najbardziej tyrańskiego, złowieszczonego despotyzmu, pod którego uciskiem ginie Rosja, i nawet jej nowa, jakoby rządząca klasa robotnicza wdeptana jest w ziemię, jak cała reszta społeczeństwa [...]. Tylko ludzie ślepi i nieuczciwi mogą uważać nas za reakcjonistów. My walczymy o wyzwolenie narodu spod jarzma, jakiego nie znano w najbardziej ponurych okresach naszej historii [...] my doskonale wiemy, że nasza wojna domowa ma światowe znaczenie. Jeśli nasza ofiara pójdzie na marne, to społeczeństwo europejskie, europejska demokracja będzie musiała sama bronić swoich kulturowych i politycznych zdobyczy przed uskrzydłonym zwycięstwami wrogiem cywilizacji.*

Naszych rodaków zgromadzonych pod pomnikiem rosyjskich antykomunistów, towarzyszy broni żołnierza polskiego z wojny polsko-bolszewickiej, ogarnia wówczas refleksja jak prorocze były to słowa. Bo przecież niespełna dwadzieścia lat po zwycięstwie z 1920 roku, dokładnie 17 września 1939 roku, efekty polskiej wiktorii w ponoć jednej z osiemnastu bitew decydujących o losach świata przestały mieć jakiegokolwiek praktyczne znaczenie, odchodząc już na wieki wyłącznie do świata wspomnień o dniach chwały polskiego oręża. Prowadzący celebrę dalej czyta słowa gen. Wrangla:

*Dopóki w Rosji nie zostanie ustanowiona prawdziwa władza państwowa, oparta na potwierdzonych wiekowymi dociekaniem rozumu ludzkiego zasadach praworządności, zagwarantowania praw osobistych i majątkowych, z pełnym poszanowaniem międzynarodowych zobowiązań, w Europie nigdy nie zapanuje pokój. Nie można będzie podpisać żadnego gwarantującego cokolwiek porozumienia i w niczym się ze sobą dogadać.*

Uczestnicy uroczystości, słuchając tych słów, myślą wtedy: „Jaka to ulga, że w Rosji zapanowała wreszcie wymarzona przez Wrangla władza, że zamordowanie znacznej części narodu czeczeńskiego, napaść na gruzińskie terytorium i bombardowanie gruzińskich osad w sierpniu 2008 roku, zabójstwo Anny Politkowskiej w dniu 7 października 2006 roku (na marginesie: 7 października to dzień urodzin premiera Putina), zabójstwo Aleksandra Litwinienki dokonane w centrum Londynu w listopadzie 2006 r., los Chodorkowskiego, wysadzenie w powietrze samochodu z byłym prezydentem Czeczenii Zelimchanem Jandarbijewem w stolicy Kataru, Dausze, w lutym 2004 roku, przepisy rosyjskiego systemu prawnego służące legitymizacji wymienionych mordów w Londynie i Katarze, czy zaprzeczanie temu, że mord katyński nosił znamiona ludobójstwa to przeszłość, od której aktualne rosyjskie władze jednoznacznie się odcinają i którą w sposób zdecydowany i bez żadnych niedomówień potępiają”. „Jak dobrze, że tego dożyliśmy” - myślą sobie...

Na razie to tylko marzenia. Mogą się spełnić albo nie spełnić. W każdym razie na zarysowany powyżej pomysł upamiętnienia Rosjan walczących za naszą wolność przeciwko Armii Czerwonej w lecie 1920 r., pomysł pozwalający w procesie ocieplania stosunków polsko-rosyjskich odwołać się do prawdziwej historii, udzielam naszym politykom, będąc upoważniony do tego przez Kazimierza Krajewskiego, bezpłatnej licencji. A czy strona rosyjska, gdyby taki pomnik został wzniesiony, przyjmie polską inicjatywę z uznaniem, czy nie odbierze jej jako prowokację obliczoną na zniweczenie wiatru odnowy wiejącego - jak

twierdzą osobistości polskiego życia publicznego, a one na pewno widzą więcej i wiedzą lepiej od szarych zjadaczy chleba, z których większość ma pewne trudności z rozpoznaniem realnych symptomów ocieplenia wzajemnych stosunków - od murów Kremla w kierunku Warszawy? Mam nadzieję, że odniesie się do niej pozytywnie. Wszak pomysł mieści się w kanonie aktualnej narracji historycznej władz rosyjskich, trafnie zdiagnozowanej przez red. Skwecińskiego w przywołanym wcześniej tekście *Na Placu Czerwonym być trzeba*, odwołuje się do braterstwa broni, tak przecież cenionego na Kremlu, i dobitnie pokazuje, że komunizm był śmiertelnym wrogiem zarówno narodu rosyjskiego jak i polskiego, z czym nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien chyba polemizować.

Tak czy inaczej, Borysa Sawinkowa i innych Rosjan-antykomunistów, którzy walczyli u boku żołnierza polskiego w letnich tygodniach kampanii 1920 roku, czas uczcić!

**Grzegorz Wąsowski**

**Fundacja „Pamiętamy”**

[www.fundacjapamietamy.pl](http://www.fundacjapamietamy.pl)

**Warszawa, maj/czerwiec 2010 r.**

**PS.** Tekst ten powstał na przełomie maja i czerwca 2010 r. Kiedy kończyłem pracę nad nim, nie sądziłem, że rzeczywistość tak szybko, bo w ciągu niecałych trzech miesięcy, dopisze smutny epilog do jego głównych wątków. Mam na myśli, rzecz jasna, podjętą przez naszą władzę wykonawczą, jak się wydaje na polecenie Kancelarii Prezydenta RP, inicjatywę upamiętnienia pomnikiem nagrobnym 22 żołnierzy Armii Czerwonej, poległych w czasie szturm na Warszawę w 1920 roku, spoczywających na cmentarzu w Ossowie. Pomnik zatem już stoi, uroczystość będzie, choć jeszcze nie wiadomo kiedy, tyle że nie Sawinkowa i Jego towarzyszy upamiętnimy, ale bolszewików. Jak sądzę właściwą i pełną ocenę tego faktu przedstawił prof. Andrzej Nowak w opublikowanym na łamach „Rzeczpospolitej” artykule *Ossów to rosyjski Katyń?*, do którego lektury serdecznie zachęcam. Ze swojej strony chcę zwrócić uwagę na dwa aspekty ostatnich wydarzeń na cmentarzu w Ossowie, które jak sądzę, są znakomitą ilustracją dla głównej tezy mojego tekstu, iż grzęźniemy w głębokiej zapaści semantycznej i poruszamy się w chaosie pojęciowym. Przede wszystkim okazało się, że grób czerwonoarmistów można zbeczczyć, czy - jak kto woli - sprofanować, malując na nim czerwoną gwiazdę, czyli symbol pod jakim żołnierze ci walczyli i zginęli. Do takiego

incydentu bowiem doszło, co było jednym z powodów odłożenia zaplanowanej na 15 sierpnia br. ceremonii odsłonięcia pomnika. To tak, jakby uznać, że grób żołnierza polskiego można sprofanować malując na nim orzełka z koroną.

Uznanie, że w opisanych sytuacjach doszło do profanacji jest możliwe wyłącznie w warunkach przyjęcia za obowiązujące symboli - pojęć przeciwstawnych prawdzie. A taką właśnie symbolikę – w postaci krzyża prawosławnego - przyjęto dla upamiętnienia w Ossowie. Może więc warto, znów z powodu elementarnego przywiązania do faktów, przypomnieć, że Cerkiew prawosławna w pierwszych latach po rewolucji bolszewickiej występowała jako otwarty wróg bolszewizmu, oraz że 19 stycznia 1918 roku jej patriarcha Tichon rzucił anatemę na bolszewików, ogłaszając co następuje:

*Mocą użyczonej Nam przez Boga władzy, wzbraniamy wam Sakramentów Chrystusowych i rucamy na was anatemę, o ile nosicie jeszcze imiona chrześcijańskie, i chociażby przez urodzenie swe tylko, do Cerkwi Prawosławnej należycie. [Józef Mackiewicz, „Zwycięstwo prowokacji”].*

Warto wspomnieć również i to, że gdy owych 22 bolszewików, którzy znaleźli śmierć z rąk żołnierza polskiego pod Ossowem i zostali pochowani na miejscowym cmentarzu, maszerowało w szeregach Armii Czerwonej żeby „wziąć” Warszawę, co miało umożliwić Leninowi i spółce zainstalowanie bolszewizmu w Europie zachodniej, czyli zniszczenie cywilizacji zachodnioeuropejskiej, zbudowanej przecież na fundamencie chrześcijaństwa, na Krymie walczyły jeszcze oddziały białych Rosjan pod ogólną komendą gen. Wrangla. Jego słowa o wrogach cywilizacji przypominałem w swoim tekście.

Prawda jest taka, że o czerwonoarmistach pochowanych w Ossowie nie wiemy nic ponadto, że byli elementem potężnej siły, która szła na Warszawę, na zachód, żeby zniszczyć, podeptać wszystko co było drogie naszym przodkom, a wiarę chrześcijańską w pierwszej kolejności. Wiemy również, że ich rodacy przywiązani do starego porządku, czyli rzeczywistości szanującej chrześcijaństwo, byli wtedy po drugiej stronie barykady, walcząc u boku żołnierza polskiego bądź w szeregach Wrangla. Zdobienie mogiły żołnierzy bolszewickich pochowanych na cmentarzu w Ossowie pomnikiem, którego najważniejszym elementem jest krzyż prawosławny, stanowi zatem poważne zafałszowanie w przestrzeni symbolicznej i prowadzi niektórych do absurda wniosku, że symbol czerwonej gwiazdy narysowany na mogile przez przeciwników tego upamiętnienia należy rozpoznawać jako akt



profanacji, a nie przypomnienie z czym i po co żołnierze ci przyszli na ziemię, w której zostali pochowani.

Tak, oparte na deformującej prawdę narracji historycznej stosunki postpeerelowsko - postsowieckie, przepraszam: oczywiście polsko - rosyjskie mają się coraz lepiej. Grozą więcej...

**G.W.**